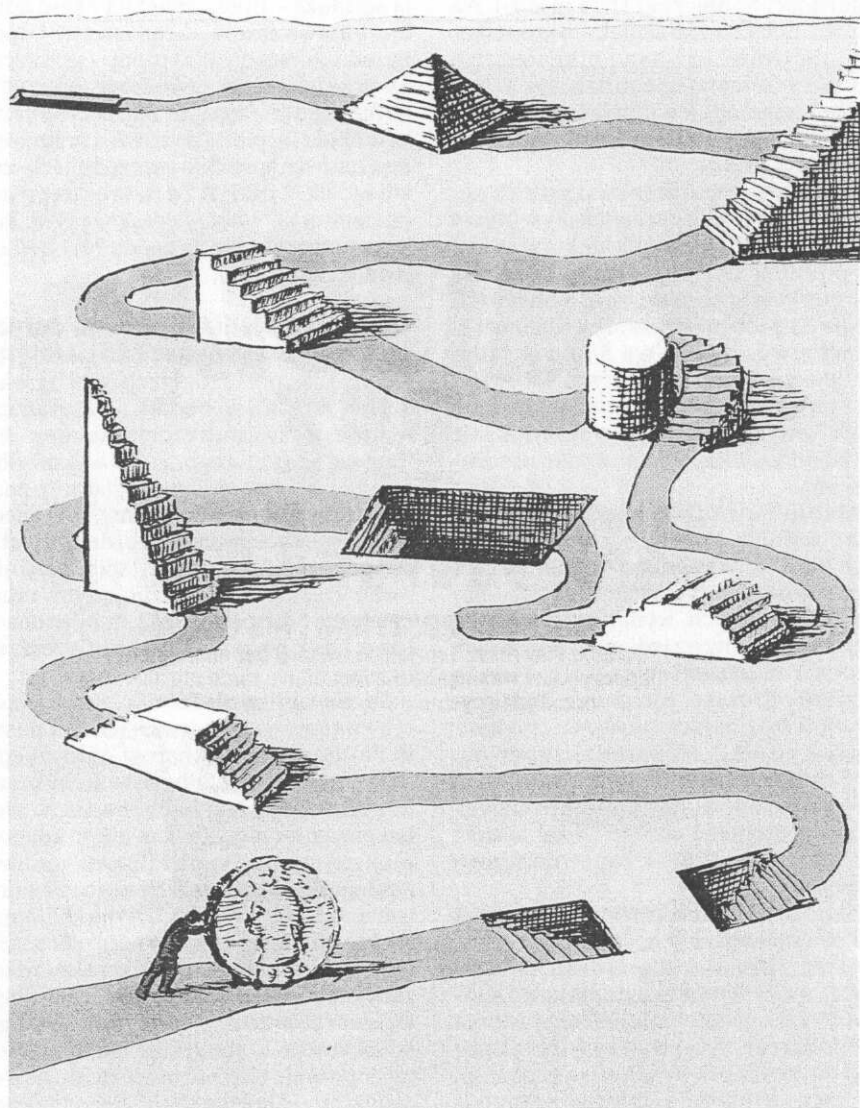


Rząd, nowelizując tegoroczny budżet, miał pokazać całą prawdę o stanie finansów państwa. Tymczasem zobaczyliśmy wierzchołek góry lodowej, który nie wygląda aż tak strasznie.

To, co naprawdę groźne, pozostało pod wodą.

Łaty na dziurze



© JANUSZ KAPUSTA

JOANNA SOLSKA

Dochody państwa niebezpiecznie maleją, a wydatki rosną. Z deficytu, powiększonego z pierwotnych 18,2 mld do 27 mld zł, jeszcze to nie wynika. Sporo bowiem zamieciono pod dywan – dramatyczny stan finansów ZUS, NFZ, topniejące dochody samorządów terytorial-

nych. Tych pozycji ustawa budżetowa nie obejmuje, a nowelizacja nie dotyczy. Co gorsza, w budżecie na 2010 r. i na następne lata nie da się ich już ukryć. I wtedy będzie naprawdę gorąco.

Budżet żyje z podatków, a najszerzym strumieniem zasilającym są dochody z VAT oraz akcyza. Są tym wyższe, im więcej kupujemy. Niestety, kryzys odbiera ochotę do zakupów zarówno ro-

dzinom, których dochody drastycznie spadły (np. z powodu utraty pracy), jak i tym, którzy na razie finansowo nie stracili, ale wolą coś odłożyć na czarną godzinę. W maju w krajach całej Unii sprzedaż detaliczna, liczona w ujęciu rocznym, spadła średnio o 3,1 proc. Rostała tylko w Szwecji (2,2 proc.) i w Polsce (0,4 proc.), ale minister finansów spodziewał się dużo więcej.

Wpływy z VAT miały w tym roku wynieść 118,6 mld zł. Przypomnijmy, że wszystkie dochody państwa obliczono na 270 mld zł. Teraz wiadomo, że będą dużo niższe. Twarde dane, czyli policzone wpływy z VAT po pierwszym kwartale br., pokazują, że z tego podatku państwo otrzymało 3,3 mld zł mniej, niż zaplanowało. W drugim kwartale nie jest lepiej, a prognozy na trzeci i czwarty przewidują dalsze spadki. Ministrowi finansów w rubryce VAT zabraknie prawdopodobnie 25,3 mld zł. Tak źle jeszcze nie było.

Budżet państwa częściowo ratują nasze nałogi: Polak lubi wypić, zapalić i pojeździć. W cenach alkoholu, papierosów i paliw ogromny udział ma akcyza i dochody z niej spadły mniej. Ekonomiści zgodni są jednak co do tego, że i ta pozycja skurczy się w ciągu roku o 1,3 mld zł w stosunku do planu. Jak na zaplanowane 58,1 mld zł, byłby to całkiem znośny wynik.

Znacznie gorzej będzie z podatkiem PIT, od dochodów osobistych. Tu rząd zaplanował wpływy w wysokości 40,3 mld zł. Dziś ocenia się, że zabraknie 7,4 mld zł. To sporo, zważywszy, że zdaniem GUS nasze zarobki, w skali kraju, jeszcze nie maleją. Niestety, jednocześnie zwiększa się liczba bezrobotnych (według GUS od końca 2008 r. do końca pierwszego kwartału br. wzrosła o 285 tys. osób). Jest też coraz wyższa fala uciekających przed zwolnieniami na emeryturę. Ci ludzie jeszcze niedawno zarabiali i płacili podatki. Teraz przeszli na utrzymanie państwa.

Jest jeszcze jedna ważna pozycja podatkowa – wpływy z CIT, czyli podatku dochodowego od przedsiębiorstw, który firmy płacą w formie miesięcznych zaliczek. Z zaplanowanych 33,1 mld zł zabraknie prawdopodobnie 6,7 mld. Firmy tracą klientów, więc naturalną konsekwencją są mniejsze zyski, a w ślad za tym podatki.

Jak minister finansów to wszystko zsumuje, zabraknie mu 42,5 mld zł.

Czyli tę sumę powinien dodać do deficytu zaplanowanego wcześniej i zapisanego w ustawie budżetowej (18 mld zł). To oznacza, że deficyt przekroczy 60 mld zł i 5 proc. PKB. Teraz łatwiej zrozumieć, dlaczego Ministerstwo Finansów tak kategorycznie domaga się też dywiden-

dy od spółek Skarbu Państwa, takich jak PKO BP, PZU, KGHM i innych. Ma szansę „wyszarpać” od nich około 5 mld zł i o tyle zmniejszyć dziurę.

Tymczasem ekonomiści mówią, że jest jeszcze gorzej, bo dziura w całym sektorze finansów publicznych sięga nawet – jak twierdzi prof. Stanisław Gomułka – 80 mld zł. Różnice biorą się przede wszystkim stąd, że ustawa budżetowa opisuje tylko wydatki budżetu państwa, o których decyduje minister finansów. Ale państwo to nie tylko budżet. Do dziury budżetowej trzeba więc doliczyć kolejne dziury. Największa pojawiła się w FUS (Fundusz Ubezpieczeń Społecznych), do którego wpływają nasze składki emerytalne i rentowe. Niedobór może sięgnąć nawet 10 mld zł. W sytuacji, gdy pracujących (a więc także pieniędzy ze składek) ubywa, a emerytów szybko przybywa, ten rozjazd wpływów i wydatków jest szczególnie dramatyczny. ZUS będzie teraz musiał zaciągnąć kredyt komercyjny w bankach i zapłacić od niego spore odsetki. W przyszłym roku niedobór będzie więc jeszcze większy. Stało się jasne, że ZUS ze składek się nie utrzyma, nawet jeśli składka rentowa wróci do poprzedniej wysokości.

Mniej, niż zaplanował, otrzymuje też Narodowy Fundusz Zdrowia.

Placówki medyczne stają przed dramatycznym wyborem – albo odmówią chorem pomocy, bo już wykorzystają limity zakontraktowane przez NFZ, albo też będą leczyć ryzykując, że nie dostaną zapłaty za tzw. nadwykonania, czyli pograżą się w długach. Wreszcie mniej pieniędzy wpływa do kas samorządów terytorialnych, z którymi budżet centralny dzieli się pieniędzmi z PIT.

Dziurę budżetu centralnego trzeba by więc poszerzyć o ubytki pochodzące z instytucji, których ustawa budżetowa nie obejmuje, ale faktycznie także odpowiada za nie państwo. I wtedy może się właśnie okazać, że brakuje nawet 80 mld zł. Sytuacja zrobiła się naprawdę poważna.

Jak widać, wpływy do budżetu są bardzo podatne na kryzys i po prostu gwałtownie topnieją, tymczasem sztywne, czyli niezależne od kryzysu, są wydatki, które państwo musi ponieść. W Polsce nie do pomyślenia jest to, na co zdecydował się rząd Estonii, czyli zmniejszenie emerytur i rent. Aż 75 proc. wydatków budżetu jest zapisane w ustawach, które gwarantują ich coroczny wzrost. Jeśli kryzys potrwa dłużej, czego nikt już dzisiaj wykluczyć nie może: kolejnemu zmniejszeniu dochodów państwa towarzyszyć będzie wzrost jego wydatków. Przedsiębiorstwo w takiej sytuacji ogłasza upadłość. Państwu tego uczynić nie wolno.

Nowelizacja tegorocznego budżetu nie rozwiąże żadnych problemów,

niektóre po prostu odsunie lub ukryje. Nie zahamuje pogarszania się stanu finansów ZUS ani NFZ, samym sobie pozostawi samorządy terytorialne. Sprawi tylko wrażenie, że rząd panuje nad budżetem centralnym, powiększając deficyt o zaledwie 9 mld zł. O 20 mld zł już wcześniej ścięto wydatki. Kolejne 3 mld oszczędności minister Boni znalazł w ostatnich dniach, głównie tnąc rezerwę na Fundusz Alimentacyjny (o 1,15 mld zł) i rozwiązując Rezerwę Solidarności Społecznej (1,14 mld zł). Na innych polach działał metodą kropelkową, obrywając każdemu ministerstwu po kilka, kilkanaście milionów. W ten sposób rząd nakleił plaster, a prawdziwą operację odkłada do następnego budżetu, na 2010 r.

Zapewne skorzysta ze wszystkich narzędzi, dzięki którym zwiększy wpływy podatkowe. Najbardziej efektywny jest tu podatek VAT. Podniesienie stawki o 1 punkt procentowy, czyli z obecnych 22 na 23 proc. oznaczałoby dla budżetu wpływy większe o 6,5 mld zł. Gdyby zdecydowano się ruszyć tylko stawki żywności (obecnie opodatkowanej 3 lub 7 proc.), wpływy powiększyłyby się o 700 mln zł z każdym punktem procentowym.

Manipulowanie raczej górą, choć i tak wysoką stawką wydaje się jednak bardziej prawdopodobne. Wzrost cen żywności jest o wiele bardziej dolegliwy dla ubogich, wydających większą część dochodów na jedzenie. Natomiast osoby zamożniejsze częściej kupują artykuły droższe, nierzadko importowane, czyli dające państwu większe wpływy z VAT. Najłatwiej zapewne, być może jeszcze w tym roku, rząd zdecyduje się na podniesienie stawek akcyzy. Dopiero co obniżone stawki podatku PIT od 2010 r. zapewne znowu wzrosną.

Ekonomiści podkreślają, że wzrost stawek podatkowych, choć konieczny, nie załata jednak rosnącej dziury budżetowej, może natomiast dodatkowo spowodować tak gwałtownie słabnący wzrost gospodarczy. Sytuacja jest więc tak poważna, że trzeba by w końcu zrobić to, do czego brakowało odwagi poprzednim ekipom rządzącym. Konieczne są przede wszystkim zmiany w strukturze wydatków państwa, czyli powstrzymanie ich lawinowego wzrostu.

Od dawna wiadomo, co musi być szybko zrobione.

Ustawa o emeryturach pomostowych była tylko pierwszym krokiem w stronę wydłużania okresu naszej aktywności zawodowej. Teraz pilnie trzeba zrobić następne. Nie da się i nie ma sensu utrzymywać

specjalnych, niezależnych od sumy wpłaconych składek, emerytur górniczych, które finansować muszą pozostali pracujący. Zlikwidować trzeba emerytalne przywileje służb mundurowych. I do powszechnego systemu podatkowego wcielić rolników oraz, łamiąc opór PSL, przeprowadzić reformę KRUS. Konieczne jest wydłużenie wieku emerytalnego kobiet, a niewykluczone, że także mężczyzn. To wszystko trzeba robić jednocześnie, najlepiej jeszcze w 2010 r.

Są to posunięcia, które – jak pokazuje sondaże – przez znaczną część społeczeństwa nie są akceptowane i opór przed ich wprowadzeniem – podsycany przez związki zawodowe, opozycję i prezydenta – będzie zapewne spory. W dodatku w pierwszym roku przyniosą budżetowi niewielkie oszczędności – zaledwie ok. 3 mld zł. Za to w następnych oszczędności byłyby coraz wyższe. Pokusa przeczekania do końca 2011 będzie jednak ogromna.

Opozycja, zamiast reform, domaga się jeszcze większego deficytu.

Gdyby rząd posłuchał tych rad i ograniczył się do wzrostu podatków, zagranicznym inwestorzy zdolni są zdestabilizować kurs złotego, znowu wycofali się z Polski i cena euro wzrosłaby. To znaczy, że do jednej choroby, czyli niknącego wzrostu gospodarczego, dołączyłaby druga, czyli inflacja. Inflację, zgodnie z obowiązkiem konstytucyjnym, musi zwalczać NBP podnosząc stopy procentowe. Czyli gospodarka zwalnia jeszcze bardziej.

To nie koniec nieszczęść, które spadłyby na nas wraz z otwarciem tej puszczy Pandory. Koszt obsługi ogromnego deficytu, który już obecnie przekracza 30 mld zł, także wzrosłby znacząco. Niebezpiecznie zbliżylibyśmy się do konstytucyjnej granicy, która zabrania rządowi zadłużać budżet bardziej niż na równowartość 60 proc. PKB, obecnie zbliżamy się już do 55 proc. Po jej przekroczeniu rząd musiałby ściąć wydatki tak bardzo, żeby w ogóle deficytu nie było, co wydaje się niewyobrażalne – ale tego wymaga konstytucja. Konstytucję można zmienić, opozycja chętnie może by się nawet zgodziła, ale Polska stanęłaby nad przepaścią.

Cokolwiek dziś zrobi koalicja rządząca, będzie bardzo bolesne i wzbudzi ogromny opór społeczny, a w konsekwencji może przynieść utratę poparcia dla rządu i szansę powrotu do władzy ugrupowań populistycznych. Płady manewru jest więc bardzo wąskie. Donaldowi Tuszkowi pozostaje – bagatel! – przekonać społeczeństwo, że bez reformy finansów publicznych czeka nas gospodarcza i polityczna katastrofa. ■